

## Ostatni ogród Jaapa, fragment

dla Ewy

Opowiadają, że Kobori Enshu, któremu zlecono założenie ogrodów wokół cesarskiej willi w Katsurze, przed przystąpieniem do pracy postawił trzy warunki. Po pierwsze: zajmie to tyle czasu, ile on, Kobori Enshu, uzna za konieczne. Po drugie: nikt nie śmie mu przeszkadzać, udzielać wskazówek, ani nawet proponować pomocy. Po trzecie wreszcie: na wykonanie zadania otrzyma nieograniczony kredyt.

Czy zdarzyło się, by Jaap Willemse, mój szef, chlebodawca, zarazem – co piszę z radością – mój przyjaciel, któremu towarzyszę w tułaczce po świecie od lat już bez mała dwudziestu, założyciel niezliczonej liczby ogrodów i parków, które zachwycają ludzi od Nowej Szkocji po Nową Południową Walię, miał kiedyś taki komfort pracy? Czy kiedykolwiek te trzy warunki zostały równocześnie spełnione? Bywało, ktoś rzucał na stół worek banknotów, lecz pustynna oaza miała powstać na wczoraj. Na przedwczoraj. Komuś innemu może nie spieszyło się zbytnio, ale i pieniądze płynęły do nas, czyli do ogrodu leniwie lub wcale. Tacy, którzy mieli i czas, i niezbędne środki – mieli też tysiące własnych pomysłów. Na sadzawkę, na labirynt, na gazon, nawet na kolor tegorocznych nagietków („tak, to są nagietki”), których następnej wiosny już pewno w tym miejscu nie będzie. I koniecznie musi być *folly*, szalone, *freaky*, dziwaczne, nawet jeśli zupełnie nie pasuje do naszej koncepcji.

Jakoś przecież sobie radzimy. Czy może być trudniej? Do licha! Może. W tej mysiej dziurze, w której tkwimy już ponad pół roku. Zimno, wilgotno, niebo jak skisłe mleko (które tu piją bez najmniejszego skrzywienia), wiosna krótka, lato niewydarzone, deszczowe, a mówią, że zima mroźna, śnieżna i długa. Rośliny poszarzałe, zastraszone, nie takie jak w mojej kochanej Italii. O, Italio miła. Ogrody Tivoli, ogrody Boboli. Isola Bella, Aldobrandini, Lante, Teranto, Medici, Borghese! I jak tu plantować tarasy, jak budować groty, podnosić i spuszczać schody, w górę, w dół, w górę, w dół, wodę rzucać w kaskady, obsadzać skarpy, skoro tu jednostajnie i płasko. Płasko, ale równo nie byłoby wcale źle, można wtedy piękne partery zakładać, różańce kanałów i basenów odmawiać jak we Francji. Nie, tu wszędzie muszą być grzędy, grzebienie, groble, granice, jary, parowy, wądoły. Wądoły? Niektórych nazw i wymówić nie umiem. Ja, który świat cały zjeździłem z Willemsem jako jego – jakby to nazwać – sierżant-szef. On projektuje, myśli, komponuje, tworzy, ja jestem jego rękami, nogami, płucami, trzewiami. Artysta i rzemieślnik. Jest jeszcze kamieniarz, rzeźbiarz,

fontainer i kilku pomocników. Zawsze też wynajmujemy miejscowych. Razem do dziesięciu osób, zależy od tematu.

Więc chłodno i ciemno. Wzrok tu nienawykły do kolorów i światła i nie jest w stanie uchwycić nieskończoności barw i tonów natury. Jesień jest tu zamglona, spowita milionem pajęczyn, zawieszona w wielkim białym kokonie. Pogadać nie ma z kim, bo nikt ludzką mową nie włada, poza jedną Agatą, ale o niej później. Drzewa tylko są piękne, wyniosłe. Stałem dziś pod jednym, objąłem mokry pień, przytknąłem twarz do kory. Na Boga, słyszałem, jak ono do mnie mówi. Te drzewa utrzymują mnie przy życiu.

Przy życiu tak naprawdę utrzymuje mnie nasze zlecenie. Człowiek, nazwisko nieistotne, dorobił się majątku. Kupił zniszczony pałac, akry nieużytków, stawy, połąć starego lasu. Umyślił sobie urządzić duży ogród, założyć sad i park. Mieliśmy akurat wolne, po powrocie z Anglii siedzieliśmy u Jaapa pod Aalsmeer, pijąc zbyt dużo piwa, gdy przyszło mailem pytanie. Pisała córka właściciela, Agata. „Nie zarobicie fortuny, czasu jest niewiele, ojciec oczekiwania ma spore. Ale...”.